



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 242

leg. 116

E. — № 9 (c)

PAN ZAGŁOBA

WYPISY Z „TRYLOGJI” H. SIENKIEWICZA

KOBOS TADEUSZ



WARSZAWA — 1920
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

Wydano z polecenia Sekcji, Oświaty i Kultury
Oddz. III Szt. M. S. Wojsk. — 1.XII 1920 r.

Zakłady Graficzno-Wydawnicze „Książka”.
Warszawa, Tamka 46. Telefon № 33-20.

Pan Zagłoba zdobywa sztandar.

Gdy husarja ruszyła naprzód, pan Zagłoba choć oddech miał krótki i tłoku nie lubił, skoczył przecie z innymi, bo zresztą i nie mógł inaczej uczynić bez narażenia się na stratowanie. Leciał tedy przymknąwszy oczy, a w głowie latały mu z błyskawicową szybkością myśli: „Na nic fortele! na nic fortele! głupi wygrywa, mądry ginie!“ Potem ogarnęła go złość na wojnę, na kozaków, na husarzy i na wszystkich w świecie. Zaczął kląć — i modlić się. Powietrze świszczało mu w uszach, tamowało oddech w piersi — nagle uderzył się o coś koniem, poczuł opór, więc otworzył oczy i cóż ujrzął: oto kosy, szable, cepy, mnóstwo rozpalonych twarzy, oczu, wąsów... a wszystko to niewyraźne, niewiadomo czyje, wszystko drgające, skaczące, wściekłe. Wtedy porwała go ostatnia pasja na tych nieprzyjaciół,



że nie uciekli do diabła, że leżli w oczy i, że zmuszali go do bitwy. Chcecie, to macie! — pomyślał — i począł ciąć ślepo na wszystkie strony. Czasem przecinał powietrze, a czasem czuł, iż ostrze mu grzęźnie w coś miękkiego. Jednocześnie czuł, że jeszcze żyje i to dodawało mu nadzwyczajnie otuchy. Bij! zabij! — ryczał jak bawół — nakoniec owe wściekłe twarze znikły mu z oczu, a natomiast ujrzał mnóstwo pleców, wierzchów od czapek, a krzyki mało mu uszu nie rozdarły.

— Zmykają? — przemknęło mu przez głowę. — Tak jest! — Wtedy odwaga wezbrała w nim bez miary.

— Złodzieje! — krzyknął. — Tak to szlachcie stawacie?

I skoczył między uciekających, minął wielu i zamieszawszy się w gęstwinie, z większą już przytomnością pracować począł. Tymczasem towarzysze jego przyparli kozaków do brzegów Słuczy, porośniętych dość gęsto drzewami — i gnali ich wzdłuż brzegu do grobli...

Nagle pan Zagłoba poczuł, że koń poczyną się pod nim rozpierać, a jednocześnie, spadło

nań coś ciężkiego i obwinęło mu całą głowę, tak iż otoczyła go ciemność zupełna.

— Mości panowie! ratujcie! — krzyknął, bijąc piętami konia.

Rumak jednak, widocznie zmorzony ciężarem jeźdźca, jęczał tylko i stał w miejscu.

Pan Zagłoba słyszał wszak, krzyki przelatujących koło siebie jeźdźców, potem cały ten huragan przeleciał i naokół nastąpiła względna cisza.

I znowu myśli tak szybkie, jak strzały tatarskie, poczęły mknąć przez jego głowę.

— Co to jest? Co się stało? Jezus Marja! wzięto mnie w niewolę!

I na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu. Widocznie owinięto mu głowę. Ten ciężar, który czuje na ramieniu, to dłoń hajdamacka. Ale czemuż go nie prowadzą? lub nie zabijają? czemu stoi w miejscu?

Puszczaj, chamie! — krzyknął wreszcie przyduszonym głosem.

Milczenie.

— Puszczaj, chamie! Daruję cię zdrowiem. Żadnej odpowiedzi.

Pan Zagłoba raz jeszcze uderzył piętami w boki konia, ale znowu bez skutku. Zatknięte bydłę rozkraczyło się jeszcze szerzej i stało w miejscu.

Wówczas ostatnia pasja pochwyciła nie-
szczęsnego jeńca i, dobywszy noża z pochwy,
wiszącej mu na brzuchu, dał straszne pchnięcie
w tył za siebie.

Ale nóż przeciął tylko powietrze.

Wtedy Zagłoba porwał obu rękoma za ową
zasłonę, obwijając mu głowę i zerwał ją w mgnie-
niu oka.

— Co to jest?

Hajdamaków niema. Naokół pusto. Zdala
tylko widać w dymie przelatujących kraśnych
dragonów, a o kilkanaście staj dalej migocą zbroje
husarzy, którzy gnają resztki niedobitków, zawra-
cając je z pola ku wodzie.

Natomiast u nóg pana Zagłoby leży pułko-
wa chorągiew kozaków. Widocznie uciekający
kozak cisnął ją tak, że drzewcem wsparła się na
ramieniu pana Zagłoby, a płachtą pokryła mu
głowę.

Ujrzawszy to wszystko i zrozumiawszy dokładnie, mąż ów oprzytomniał zupełnie.

— Aha! — rzekł — zdobyłem chorągiew. Jako? może nie zdobył? Jeśli sprawiedliwość nie polegnie także w tej bitwie, tedy pewien jestem nagrody. O chamy! szczęście wasze, iż mi się koń rozparł. Nie znałem się, mniemając, iż fortelom mogę ufać więcej, niż męstwu. Mogę się do czegoś więcej w wojsku przydać, niż do zjadania sucharów. O dla Boga! znowu tu jakaś wataha leci. Nie tędy, psubraty, nie tędy! Żeby tego konia wilcy zjedli! — Bij! — zabij!

Istotnie nowa wataha kozaków gnała ku panu Zagłobie. I byłby może znalazł on śmierć pod kopytami, gdyby nie to, że husarja, wzięwszy we dwa ognie owe nadbiegające oddziały rozbiła je doszczętnie.

Po skończonej bitwie rzucono zdobyte chorągwie pod nogi księcia Jeremiego. Każdy ze zdobywców ciskał swoją, tak, iż utworzył się z nich stos niemały, było bowiem wszystkich czterdzieści. A gdy z kolei przechodził pan Zagłoba, zwałił swoją z taką mocą i hukiem, że aż ratyszczce pękło, — poczem odszedł z miną tak

sierdzistą, że widząc go, żołnierze z pod innych chorągwi pokazywali go palcami, mówiąc: — Ten ci to jest, co najwięcej dokazywał.

Walka z Burłajem.

Położenie Burłaja było straszne, musiał bowiem cofać się tą samą drogą, którą nadszedł, a że Jeremi zgniótł już właśnie atakujących prawe skrzydło, mógł więc z łatwością odciąć cały Burłajowy oddział. Przyszedł mu wprawdzie z pomocą Mrozowicki na czele korsuńskich konnych mołojców, ale w tej chwili ukazała się husarja pana Koniempolskiego, do niej przyłączył się wracający z ataku na janczarów Skrzetuski i obaj odcięli cofającego się dotychczas w porządku Burłaja.

Jednym atakiem rozbili go w puch. Rozpoczęły się gonitwy, przebiegania, pojedyncze walki, wyszukiwania nieprzyjaciół ukrytych w rozpadlinach i nierównościach gruntu. Z okopów, aby oświecić pobojuwisko, zaczęto rzucać pozapalane maźnice ze smołą... Przy tych czerwonych blaskach odbywała się dalsza walka.

Widział już Burłaj, że znikąd niema ratunku. Aleś, Burłaju, sławę swą kozaczą kochał więcej, niż życie, dlategoś nie szukał ocalenia! Inni wymykali się w ciemnościach, kryli się po szczelinach, prześlizgiwali się między kopytami rumaków, on zaś szukał jeszcze wrogów. Widząc ogromnego szlachcica, przebiegającego z rykiem żubrowym pobojuwisko, zerwał się i szedł, jak błyszczący płomień na niego.

Pan Zagłoba — on to był bowiem — ryknął ze strachu jeszcze silniej i zwrócił konia do ucieczki. Reszta włosów stanęła mu dębem na głowie, ale przytomności nie stracił, owszem, fortele, jak błyskawice, przelatowały mu przez głowę, a jednocześnie wrzeszczał co siły: „Mości panowie, kto w Boga wierzy!... i gnał jak wichur, ku gęstszej kupie jeźdźców. Burłaj zaś przebiegał mu od boku, jakoby po cięciwie łuku. Pan Zagłoba zamknął oczy, a w głowie szumiało mu: „Zdechnę ja i pchły moje!“ — Słyszał za sobą pryhanie konia, spostrzegł, że nikt nie idzie mu z pomocą, że nie uciecze i, że żadna inna ręka, chyba jego własna, nie wyrwie go z Burłajowej paszczęki.

Ale w tej ostatniej chwili, nagle rozpacz jego i przestrasz zmięły się we wściekłość; ryknął tak strasznie, jak żaden tur nie ryczy i, zwinąwszy konia na miejscu, zwrócił się na przeciwnika.

— Zagłobę gonisz! — krzyknął, nacierając z szablą wzniesioną.

W tej chwili nowe stado płonących maźnic rzucono z okopów; uczyniło się widno. Burłaj spojrzął i zdumiał.

Nie zdumiał, usłyszawszy imię, bo go nigdy w życiu nie słyszał, ale poznawszy męża, którego, jako Bohunowego przyjaciela, ugaszczał niedawno w Jampolu.

Ale właśnie ta nieszczęsna chwila zdumienia zgubiła mężnego wodza mołojców, bo nim się opamiętał, pan Zagłoba jednym zamachem zwałił go z konia.

Było to na oku wszystkiego wojska. Radosnym wrzaskom husarskim odpowiedział okrzyk przerażenia mołojców, którzy stracili resztę ducha i zaniechali wszelkiego oporu.

Uniesieni zapałem żołnierze, nieśli wśród okrzyków, na rękę, do obozu pana Zagłobę, jako

największego tryumfatora w dniu dzisiejszym. Ze dwadzieścia tęgich rąk podtrzymywało w górze okazałą postać wojownika, wojownik zaś czerwony, spocony, machając rękoma dla utrzymania równowagi, krzyczał co siły:

— Ha zadałem mu pieprzu! Umyślnie udam się ucieczkę, żeby go za sobą wywabić. Nie będzie nam więcej, psubrat, burłajował. Mości panowie! trzeba było dać przykład młodszym! Na Boga! ostrożnie, bo mnie uronicie i potłuczecie. Trzymajcieżę dobrze, macie trzymać! Miałem z nim robotę, wierzcie mi. O szelmy! Ale mają za swoje. Ostrożnie! Puśćcie do djabła!

— Niech żyje! niech żyje! — krzyczała szlachta.

— Do księcia z nim! — powtarzali inni.

— Niech żyje! niech żyje!!!

Pan Zagłoba i małpy.

Pan Zagłoba rzucił się ze swym oddziałem na tarasy i wysiekłszy broniących się tam piechurów, wpadł z tarasów do owych cudnych sadów,

w całej Europie sławnych. Drzewa były już w nich wycięte, kosztowne krzewy poniszczone przez polskie kule, fontanny pogruchotane. Ziemia porwana przez granaty, słowem wszędy pustka i zniszczenie. Obecnie bój tam zawrzał srogi, lecz trwał tylko chwilę, bo już słaby dawali opór Szwedzi.

Pan Zagłoba udał się, aż na koniec sadu w miejsce, gdzie mury tworzyły potężny kąt i gdzie nie dochodziło słońce, chciał bowiem rycerz odetchnąć nieco i z potu uznojone czoło obetrzeć. Nagle spojrzął i spostrzegł dziwaczne jakieś monstra, które na niego z za kraty żelaznej klatki złowrogo patrzyły.

Klatka była wszczepiona w kąt murów, tak że kule padające od zewnątrz nie mogły jej dosięgnąć. Drzwi do niej szeroko były otwarte, lecz owe wychudłe i szkaradne istoty nie myślały z tego korzystać; owszem, przerażone widocznie zgiełkiem, świstem kul i srogą rzezią, na którą przed chwilą patrzyły, zacisnęły się w kąt klatki i poukrywane w słomę, jeno mrużeniem oznajmiały swój przestrah.

— Małpy, czy djabyły? — rzekł do siebie pan Zagłoba.

Nagle gniew go uchwycił, męstwo wezbrało mu w piersi i podniósłszy szablę wpadł do klatki.

Popłoch okropny odpowiedział pierwszemu ciosowi jego miecza. Małpy, z którymi żołnierze szwedzcy dobrze się obchodzili i które ze swych szczupłych racji karmili, bo ich bawiły, wpadły w tak okropne przerażenie, że je szal ogarnął poprostu, a ponieważ pan Zagłoba zastąpił im ode drzwi, poczęły w susach nadprzyrodzonych rzucać się po klatce, czepiać się ścian, pułapu, wrzeszczeć, zgrzytać, nakoniec jedna skoczyła w obłędzie panu Zagłobie na kark i chwyciwszy go za głowę, przywarła doń z całej siły. Druga przyczepiła mu się do prawego ramienia, trzecia od przodu chwyciła za szyję, czwarta uwiesiła się u zawiązanych z tyłu wylotów, on zaś przyduszony, spocony, próżno się miotał, próżno w tył zadawał ślepe razy, samemu wkrótce zabrakło oddechu, oczy mu na wierzch wyszły, i rozpaczliwym głosem krzycheć począł:

— Mości panowie! ratujcie!

Wrzaski zwabiły kilkunastu towarzystwa, którzy nie mogąc rozeznąć, co się dzieje, biegli w pomoc z dymiącemi od krwi szablami, lecz

nagle stanęli w zdumieniu, spojrzeli po sobie i jakby pod wpływem czarów, ryknęli jednym ogromnym śmiechem. Nadbiegło więcej żołnierzy, tłum cały, lecz śmiech, jak zaraza, udzielił się wszystkim. Więc taczali się, jak pijani, brali się w boki i im bardziej rzucał się pan Zagłoba, tem oni śmieli się więcej. Dopiero Roch Kowalski nadbiegł z góry i roztrąciwszy tłumy, uwolnił wuja z małych uścisków.

— Szelmy! — krzyknął zdyszany pan Zagłoba — bodaj was zabito! To śmiejecie się, widząc katolika w opresji od monstrów afrykańskich? Bodaj was zabito! Żeby nie ja, tobyście dotychczas trykali łbami o bramę, boście czego, lepszego nie warci! Bodaj was zabito! Żeście i onych małych nie godni!

— Bodaj ciebie zabito! mały królu! — zakrzyknął najbliższy stojący towarzysz!

— Pogromca małych! — zawołał drugi.

— Zwycięzco! — dodał trzeci.

— Gdzietam zwycięzca, chyba zwyciężony! Dalszej kłótni zapobiegły wrzaski i strzały dochodzące ze strony bernardyńskiego klasztoru. Widocznie szturm trwał tam jeszcze w całej sile

i sądząc z gorączkowej palby muszkietowej, Szwedzi nie myśleli się poddawać.

— Na pomoc! pod kościół! pod kościół! — krzyknął Zagłoba.

Pan Zagłoba ofiarowuje królowi szwedzkiemu Niderlandy.

Pan starosta, a z nim pan Zagłoba i trzej przyboczni oficerowie starosty wstąpili żywo na mury, z których widok był daleki i poczęli patrzeć na wojska szwedzkie.

Od zbitych tłumów oderwało się kilkunastu jeźdźców. Wpół drogi pozasadzali białe chusty na miecze i poczęli niemi powiewać.

— Poselstwo! — rzekł Zagłoba. — Widziałem, jak do Birzów złodzieje przyjechali z taką samą fantazją i wiadomo, co z tego wypadło.

— Zamość nie Birze, a ja nie wojewoda wileński! — odparł pan starosta.

Tymczasem tamci zbliżyli się do bramy. Po krótkiej chwili przyskoczył do pana starosty ofi-

cer służbowy z oznajmieniem, iż pan Jan Sapieha pragnie w imieniu króla szwedzkiego widzieć się z nim i rozmówić.

A pan starosta począł się zaraz w boki brać z nogi na nogę przestępywać, a sapać, a wargi odymać, wreszcie odrzekł z okrutną fantazją:

— Powiedz panu Sapieżę, że Zamoyski ze zdrajcami nie gada. Chce król szwedzki ze mną gadać niech mi Szweda rodowitego przyśle, nie Polaka, bo Polacy, którzy Szwedom służą, niech do psów moich poselstwo odprawują, gdyż porówni niemi gardzę!

— Jak mi Bóg miły, to respons!*) — zawołał z niekłamany zapalem Zagłoba.—A niech ich tam djabli wezmą — zawołał podniesiony własnymi słowy i pochwałą starosta.—Co? będę z niemi robił ceremonje, czy co?

— Pozwól wasza dostojność, niech mu sam ten respons odniosę! — rzekł Zagłoba.

I nie czekając dłużej, skoczył z oficerem służbowym, wyszedł naprzeciw pana Jana i widocznie, że nietylko słowa starościńskie powtó-

*) Odpowiedź.

rzył, ale musiał od siebie coś wielce szpetnego dodać, bo pan Sapięha zawrócił tak z miejsca, jakby mu przed koniem piorun trzasł i nacisnąwszy czapkę na uszy, odjechał.

Z murów zaś i z chorągwi tej jazdy, która przed bramą stała poczęto huczeć za odjeżdżającymi:

— A do budy zdrajcy, przedawczykowie! Huź, huź!...

W pół godziny później, Forgell z czysto szwedzką asystencją oznajmił się przy bramie. Most łańcuchowy opuścił się zwolna na fosę i generał wjechał do twierdzy, wśród spokoju i powagi. Przebiegły Szwed począł też odrazu tak starostę traktować, jak gdyby go król Karol do równego sobie monarchy w poselstwie wysłał.

— Wasza książęca mość — mówił. — Najjaśniejszy król szwedzki i pan (tu długo wyliczał tytuły) zgoła nie jako nieprzyjaciel tu przybył, ale wprost mówiąc w gościnę tu przyjechał i przeze mnie się zapowiada, mając niepłonną jak tuszę nadzieję, że wasza książęca mość dla osoby jego i jego wojsk bramy swe otworzyć zechcesz.

— Niemasz u nas tego zwyczaju — odpowiedział pan Zamojski — aby komu gościnności odmawiać, choćby też i nieproszony przyjechał. Znajdzie się zawsze u mnie miejsce przy stole, a nawet, dla tak dostojnej osoby, pierwsze. Ale, że, jako wasza dostojność widziałeś, służby mi nie brak, przeto nie potrzebuje jego szwedzka jasność swojej ze sobą brać.

— Dobrze! — szepnął stojący tuż za plecami pana starosty Zagłoba.

Forgell przygryzł wąsów, pomilczał trochę i wreszcie tak mówić począł:

— Największy to byłby dowód nieufności dla króla, gdybyś wasza książęca mość załogi jego do fortecy wpuścić nie raczył. Król przybył tu jedynie w tym celu, aby spokój krajowi, panowanie sprawiedliwości i szczęście, a wolność obywatelom tej prześwietnej Rzeczypospolitej przywrócić.

Starosta Kałuski uderzył się ręką po kolanie, ale nie odrzekł ni słowa, jeno Zagłoba szepnął:

— Djabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni.

— Liczne już spłynęły na ten kraj z prótekcji królewskiej dobrodziejstwa, — mówił dalej Forgell—lecz najjaśniejszy król, mniemając w ojcowskim swem sercu, że nie dość jeszcze uczynił, znowu prowincji swej pruskiej odbieżał, aby mu jeszcze raz iść na ratunek, który na pokonaniu Jana Kazimierza polega. Aby jednak ta wojna prędko a szczęśliwy koniec wziąć mogła, potrzebne jest jego królewskiej mości nieodbicie czasowe zajęcie tej twierdzy. Od ciebie, panie, zależą przyszłe losy tej Ojczyzny. Król ufa, panie, że niepowszednia mądrość twa na równi z sercem do tego Cię skłonią, dlatego rozkazywać nie chce, prosić woli i groźby odrzuca, przyjaźń ofiaruje; nie jako władca z podległym, lecz jako potężny z potężnym traktować pragnie.

Tu generał Forgell skłonił się panu staroście z takim uszanowaniem, jakby udzielnemu monarsze i umilkł. W sali uczyniła się też cisza. Wszystkie oczy utkwione były w starostę.

On zaś, dłonie wsparł na kolanach i rzucając głową jak narowisty koń, tak począł:

— Ot co jest! Wielcem ja wdzięczny jego szwedzkiej jasności za górne mniemanie, jakie

ma o moim dowcipie i o affektach*) dla Ojczyzny. Ale myślę, że tak samo moglibyśmy się miłować gdyby jego szwedzka jasność sobie w Sztokholmie zostawała, a ja w Zamościu—Co? Bo Sztokholm jego szwedzkiej jasności, a Zamość mój! Bardzo w to wierzę, iż Zamość mógłby jego szwedzkiej jasności do wiktoryi**) dopomóc, wszelako trzeba, żebyś i wasza dostojność wiedział, że ja nie jego szwedzkiej mości, jeno właśnie Janowi Kazimierzowi przysięgałem, dlatego jemu wiktoryi życzę, a Zamościa nie dam! Ot co!

— To mi polityka! — huknął Zagłoba.

W sali uczynił się szmer radosny, lecz pan starosta trzepnął się rękoma po kolanach i owe gwary uciszył.

Forgell zmieszał się i milczał przez chwilę, poczem znowu argumentować począł: więc nalegał, trochę groził, prosił, pochlebiał. Jako patoka płynęła z ust jego łacina, aż krople potu uperliły mu czoło, lecz wszystko napróżno, bo po swych najlepszych argumentach, tak silnych, że mury

*) Uczuciach.

**) Zwycięstwa.

poruszyć by mogły słyssał zawsze jedną odpowiedź:

— A ja taki Zamościa nie dam! Ot co!

Audjencja*) przeciągnęła się nad miarę, nakoniec stała się dla Forgella kłopotliwą i trudną, bo wesołość poczyniała ogarniać obecnych. Coraz to częściej padało jakieś słowo, jakieś szyderstwo, to z ust Zagłoby, to z innych, po którym przytłumione śmiechy odzywały się w sali. Spostrzegł wreszcie Forgell, że trzeba ostatecznych chwycić się sposobów, więc rozwinął pergamin z pieczęciami, który trzymał w ręku, a na który nikt dotąd nie zwracał uwagi i powstawszy, rzekł uroczystym, dobitnym głosem:

— Za otwarcie bram twierdzy, jego królewska mość, (tu znów długo wymieniał tytuły) ofiaruje waszej książęcej mości województwo lubelskie w dziedziczne władanie!

Słyszając to, zdumieli wszyscy, zdumiał na chwilę i pan starosta. Już Forgell począł, toczyć tryumfującym wzrokiem dokoła, gdy nagle, wśród

*) Audjencja — przyjęcie, posłuchanie.

ciszy głuchej, ozwał się po polsku do starosty, stojący tuż za nim pan Zagłoba:

— Ofiaruj wasza dostojność królowi szwedzkiemu wzamian Niderlandy.

Pan starosta nie namyślał się długo, uderzył się rękoma w boki i palnął na całą salę po łacinie:

— A ja ofiaruję, jego szwedzkiej jasności Niderlandy!

W tej samej chwili sala zabrzmiała jednym ogromnym śmiechem. Trząść się poczęły brzuchy i pasy na brzuchach i jedni klaskali w ręce, drudzy zataczali się, jak pijani, inni opierali się o sąsiadów i śmiech brzmiał ciągle. Forgell blady był; brwi zmarszczył groźnie, lecz czekał, z ogniem w źrenicach i głową dumnie wzniesioną. Nakoniec, gdy paroksyzm śmiechu przeszedł, spytał krótkim urywanym głosem:

— Czy to ostatnia waszej dostojności odpowiedź? Na to pan starosta pokręcił węża.

— Nie!—odrzekł, podnosząc jeszcze dumniej głowę — bo mam armaty na murach!

Poselstwo było skończone.

CZYTANIA ŻOŁNIERSKIE.

- № 1 (b) — Maurycy Zych — Echa Leśne
(w skróceniu).
- № 2 (c) — według A. Daudet'a — Dług Oj-
czyźnie. Chorąży.
- № 3 (c) — według E. Amicis'a — O sardyń-
skim doboszu.
- № 4 (b) — M. Rodziewiczówna — Kamienie.
- № 5 (c) — według W. Hugo — Ocalenie.
- № 6 (c) — zbiorek — Czyn chwalebny.
- № 7 (c) — według H. Sienkiewicza — Śmierć
Longinusa Podbięty.
- № 8 (c) — według W. Hugo — Krzywda Ży-
cie Fantyny).
- № 9 (c) — według H. Sienkiewicza — Pan
Zagłoba.
- № 10 (b) — według St. Żeromskiego — Białe
róże.

Broszury oznaczone literą **c** czytane być
mogą przez wszystkich.

Broszury oznaczone literą **b** przeznaczone
są dla czytelników *bardziej przygotowanych.*